



## Zasady organizacyi muzeów krajoznawczych. 2

Następne działy obejmują florystykę i faunystykę. Są to działy olbrzymie, które rozwijają się nieraz kosztem innych. Na nie, według mego mniemania, w początkach organizacyi muzeów nie należy kłaść zbyt wielkiego nacisku, osobliwie na faunystykę, bo to kosztuje drogo, a przyczynia się w stosunkowo małym stopniu do pogłębienia wiedzy krajoznawczej wśród ogółu.

Obok florystyki i faunistyki znaleźć się mogą wszelkie okazy, dotyczące hodowli zwierząt i roślin.

One zamykają pierwszą wielką część muzeum krajoznawczego, dotyczącą ziemi, jej przyrody martwej i żywej.

Druga, ostatnia część muzeum każdego powinna być poświęcona człowiekowi. Niestety w muzeach naszych na tę część dotychczas była zwracana bardzo mała uwaga z wielką szkodą dla krajoznawstwa.

Tu na pierwszym miejscu wypadnie postawić zbiory antropologiczne, a mia-

nowicie: okazy kranologiczne współczesne i z dawniejszych czasów, oraz tablice graficzne i mapy, mające związek z antropologią, a także fotografią typów antropologicznych.

Pożądane są mapy wzrostu mieszkańców całego kraju (naprz. powiększona mapa Zakrzewskiego<sup>1)</sup>, oraz poszczególnych krain. Te

Do artykułu o „Zamkach polsko-inflanckich.”

ostatnie mogą być ułożone na podstawie ksiąg komisji poborowych, wzorując się na pracach d-rów Wł. Tołwińskiego<sup>2)</sup> z Lublina i Kosierackiego<sup>3)</sup> z Miechowa.

Obok działy antropologicznego zająć powinna na miejsce demografia i statystyka.



MARYENHAUS w 1797 r.

Podług rysunku J. K. Brodzkiego.

na miejsce demografia i statystyka.

<sup>1)</sup> Zakrzewski Adam. Wzrost w Królestwie Polskiem. Kraków 1891 r.

<sup>2)</sup> Tołwiński D-r. Rozwój fizyczny ludności pow. lubartowskiego na zasadzie pomiaru rekrutów w „Naszych sprawach” t. III, W. 1902.

<sup>3)</sup> Kosieracki D-r. (Miechów). Przyczynek do charakterystyki fizycznej ludności męskiej pow. miechowskiego. Czasop. lek. 1905, st. 261.





Z pomiędzy niezliczonej ilości okazów, jakie mogą się tam znaleźć, wymienię ważniejsze. Przedewszystkiem pożądana jest w każdym muzeum mapa ziem polskich z oznaczeniem stopnia zaludnienia według powiatów. Dalej w każdym muzeum prowincjonalnem musi być mapa gęstości zaludnienia danej krainy według gmin.

Tu należy zaznaczyć, iż wogóle wszelkie mapy dotyczące poszczególnych krain najlepiej układać według mniejszych podziałów administracyjnych naprz. gmin lub parafii.

Dalej powinien być przedstawiony na mapach i tablicach graficznych podział ludności według wieku, płci, narodowości i wyznania. W każdym muzeum znaleźć się powinna także odpowiednio powiększona mapa rozsiedlenia Polaków na ziemiach polskich, podana w pracy Edwarda Czyńskiego. (Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej Warsz. 1909).

Konieczne są następnie mapy poszczególnych terytoriów według narodowości, osobliwie tam, gdzie obce narodowości występują w większych skupieniach. Niemniej ważne jest uwzględnienie podziału ludności według zawodów i zajęć.

Następną grupę okazów stanowić mogą mapy i tablice graficzne, przedstawiające podział poszczególnych krain według kategorii gruntów, a więc ilość gruntów ornych, łąk, lasów i nieużytków. Również należałoby wykazać ile jest ziemi w posiadaniu większej i drobnej własności, ile należy do rządu i miast.

Obok znaleźć się powinny diagramy przedstawiające przeciętny obszar jednostek gospodarczych w poszczególnych terytoriach, oraz tablice graficzne przedstawiające wahania cen ziemi i t. p.

Do dalszej grupy zaliczyć można okazy, dotyczące ludności robotniczej, jej ilości, warunków pracy, mieszkań, wynagrodzenia, pożywienia, budżetów rodzin i t. p.

W tym dziale poza tablicami graficznymi, diagramami i mapami mogą być umieszczone jeszcze rozmaite inne okazy, naprzykład modele, plany, rysunki, fotografie mieszkań i pracowni. Następnie pożądanoby przedstawienie w sposób poglądowy ilości ordynaryi, wydawanej w rozmaitych miejscowościach.

Dalsze grupy muzealne stanowią przemysł i handel. Do pierwszej musi wejść zarówno wielki, jak i drobny przemysł, oraz rzemiosła. Dział ten może być ogromnie urozmaicony, bo tu znaleźć się mogą nietylko mapy, rysunki, tablice, ale i modele, plany, fotografie, oraz produkty i okazy wyrobów. Na zorganizowanie jego należy położyć większy nacisk ze względu na ważne znaczenie dla nas przemysłu wobec konieczności rozwoju rodzimego przemysłu i obrony przed zalewem kraju wyrobami obcymi. Grupa handlu zawierać powinna mapy i tablice graficzne, wykazujące ilość ludności handlującej, podział jej według narodowości, wraz z wykazem w jakich gałęziach handlu ta lub inna narodowość ma przewagę.

Obok może być udzielone miejsce okazom, ilustrującym działalność towarzystw kredytowych wszelkiego rodzaju, ruch współdzielczy, oraz obdłużenie.

Wogóle dział ekonomiczno-społeczny może być ogromnie urozmaicony i dla tego nie sposób przewidzieć wszystkich ważniejszych grup. Trzeba tylko starać się o to, aby możliwie wszechstronnie i równomiernie przedstawić stan ekonomiczny bądź całego kraju, bądź też poszczególnych krain.

Następny dział może być przeznaczony na etnografię i folklor. Urządzenie tego działu nie będzie przedstawiało wielkich trudności, albowiem posiadamy odpowiednie wzory, instrukcje i kwestyonariusze.

Dalej należy szczegółowo przedstawić stan oświaty i kultury jak całego kraju, tak i poszczególnych terytoriów.

Przedewszystkiem w każdym muzeum znaleźć się powinna mapa analfabetyzmu, mapy szkolnictwa, tablice, obrazy, rysunki, fotografie i okazy, ilustrujące działalność twarzystw oświatowych, kulturalnych i t. p. Osobliwie pożądanoby jest szczegółowe przedstawienie obecnego stanu i rozwoju szkolnictwa. Również w tem miejscu może być przedstawiony stan szpitalnictwa i warunków zdrowotnych poszczególnych miejscowości, a także działalność miast i gmin wiejskich. Tu mogłyby też być umieszczone okazy, dotyczące dróg i środków komunikacyjnych.

Ostatnie działy stanowić mogą archeologia, zabytki historyczne, oraz zabytki sztuki.





Przejrzawszy pobieżnie cały zakres krajoznawstwa i zestawiając go z tem, co się znajduje w obecnych naszych muzeach krajoznawczych, musimy niewątpliwie przyjść do wniosku, iż są one bardzo niekompletne i jednostronne, oraz wymagają wielkiej pracy, przewyższającej nieraz siły i środki prowincyi. Pracy tej jednak podjąć się trzeba, jeżeli chcemy, aby nasze muzea nie tylko gromadziły okazy naukowe, ale i przyczyniały się do pogłębienia wiedzy krajoznawczej wśród ogółu. Nie możemy ograniczać się na oczekiwaniu zaofiarowania dowolnych okazów, lecz musimy rozpocząć pracę systematyczną w większych gronach — sekcjach muzealnych — z jasno wytkniętym celem możliwie dokładnego zobrazowania danej krainy.

Podjęta w tym kierunku praca muzealna będzie wymagała dokładnego zapoznania się z daną krainą, bądź przy pomocy odnośnej literatury, bądź też naocznie.

Zorientowanie się w literaturze ułatwić mogą odpowiednie prace bibliograficzne Majera, Romera — w zakresie fizyografii, oraz Finkla w dziedzinie historii.

Przy zbieraniu i segregowaniu okazów duże usługi oddać mogą: 1) odpowiednie artykuły w Poradniku dla samouków, 2) wydawnictwo P. Tow. Krajoznawczego: *Metodyka wycieczek krajoznawczych*. Warsz. 1909, 3) Programy i nastawienia dla nabudnienia i sobiranja kolekcji po jestestwenoj istorji. Wyd. Petersburskiego Tow. Przyrodników. Przy układaniu działu społeczno-ekonomicznego odpowiednie materyały znaleźć możemy w spisach jednodniowych, wydawnictwach urzędowych, pracach Warszawskiego Komitetu Statystycznego, oraz Obzorach guberni. —

Ostatnie źródła są dość niepewne i dlatego korzystać z nich należy ostrożnie.

Przy układaniu map i tablic graficznych wzorować się można na rozmaitych atlasach statystycznych, naprzykład na „Atlasie statystycznym Królestwa Polskiego“ (A. Maciesz), a osobliwie na atlasach finlandzkim i niemieckim. Niestety wydawnictwa te są dość drogie. Pierwsze — wydawnictwo geograf. Tow. Finlandzkiego kosztuje 12 rb., a drugie — wydawnictwo Berlińskiego biura statystycznego około 25 rubli.

Poza tem wszystkim, co wymieniono było wyżej, trzeba jeszcze zaznaczyć, iż sprawa organizacyi muzeów krajoznawczych wymaga także jakiegoś większego bodźca. Takim bodźcem staćby się mogła wystawa krajoznawcza, urządzona za lat kilka. Mamy bowiem wiele dowodów, iż wszelkie wystawy bywały dużym bodźcem do gromadzenia okazów i przyczyniały się nieraz do powstawania muzeów.

Reasumując na zakończenie wszystko, przychodzimy do następujących wniosków:

1) Organizacya muzeów krajoznawczych, mając na celu stopniowe zobrazowanie w sposób poglądowy poszczególnych krain lub też całego kraju, musi być koniecznie planowa i równomierna w uwzględnianiu wszystkich dziedzin krajoznawstwa, oraz powinna dążyć do krzewienia wiedzy krajoznawczej wśród szerszego ogółu.

2) Ze względu na to, że wystawa krajoznawcza urządzona za lat kilka przyczyniłaby się znacznie do gromadzenia okazów muzealnych, bardzo jest pożądane, aby sprawę tę wziął pod rozagę Zarząd Główny Polskiego Tow. Krajoznawczego.

*Dr. Al. Maciesza.*



# Z nad Atlantyku pod Alpy

śladem ludzkiej pracy dziejowej.

Ziemia nie tylko jest kolebką i grobem człowieka. Ona jest również i jego karmicielką. Karmiąc zaś jedynie w miarę pracy jego, wychowuje go przedewszystkiem na pracownika.

Będąc karmicielką i zarazem wychowawczynią człowieka, ziemia z niego robi nakoniec istotę, jaką się on staje ostatecznie, czy to w stosunku do niej samej, jako typ zawodowy, doskonalący



swą sztukę techniczną, czy nawet w stosunku do reszty ludzi, jako typ społeczny, rozwijający swe uzdolnienie umysłowe.

Równocześnie atoli też ziemia jest jedynym polem działalności człowieka, występującego w dwojakim typie, a przytem—świadkiem i skarbnicą jego pracy.

Jako pole działalności ziemia podlega odrazu sama tej działalności, zostaje jej przedmiotem. Spotykany przez człowieka opór ziemi wzmaga, potęguje tylko naprężenie sił ludzkich. Zatem ziemia jako przedmiot działalności dźwiga na sobie skutki, przechowuje jej ślady, zresztą—pokrywa się tymi śladami cała. Pod pracą i przez pracę człowieka ziemia się wciąż przeistacza sama, przynajmniej na swej powierzchni. Do jej wnętrza człowiek głęboko sięgać nie jest w stanie.

Jako niemy wprawdzie, lecz w tej niemocie swej wielce wymowny świadek działalności człowieka, nosząc przytem na sobie ślady mniejszego lub większego naprężenia pracy jego, jedynie ziemia dostarcza dającej się ująć zmysłami skali do mierzenia siły owego naprężenia koniecznej. Jako zaś skarbnica pracy ludzkiej, w pomnikach jej na sobie dźwiganych, przez siebie przechowiwanych, wykazuje skuteczność i doniosłość pracy samej.

Przebiegając we wspomnieniach wielokrotnie odbywane wędrowki, których granice stanowiły Alpy i Atlantyk, chcę w śladach pracy ludzkiej, znaczącej dzieje, wyszukać pewnego tych wspomnień łącznika; w śladach pracy pragnę znaleźć nie przewodnią do ugrupowania i ułożenia wspomnień z mych wędrowek, z charakteru swego tylko luźnych.

Przez lat kilka letnie miesiące przepędzałem we Francji. Jechałem tam zwykle na Wiedeń przez Szwajcaryę. W Szwajcaryi, zawszem się zatrzymywał w rozmaitych miejscowościach, przekraczając przytem nieraz jej południowe, w stronę Włoch, granice. Powracałem również tą drogą. Z Paryża robiłem wycieczki kilkutygodniowe do Bretanii. Dwa razy (w 1903 i 1905) okrążyłem Bretanią całkowicie, gdyż od Mont-St.-Michel do Nantes. Dwa zaś inne—docierałem do jej zachodnich cyplów, do Brestu (w 1904), północnym wybrzeżem; południowem—(w 1906) do Pointe du Raz. W taki sposób ważniejsze miejscowości odwiedzić mogłem dwa a nawet trzy razy, mniej ważne wystarczyło mi raz. Stawałem przeto z pod Alp nad Atlantykiem i odwrotnie, z nad Atlantyku—pod Alpami.

Obecnie, gdy i Alpy i Atlantyk zwiedzam tylko we wspomnieniach, unaoczniają mi je widoki zebrane na miejscu (do 2,000), odświeżają w pamięci dzieła specjalne, też na miejscu nabywane.

Z tak unaocznianych i odświeżanych wspomnień powstają te karty. Luźnemi one być tylko

mogą, ponieważ ani dziennika podróży nie prowadziłem, ani notatek na miejscu nie robiłem.

W taki sposób na tle obrazu ziemi, w oznaczonych granicach, powstanie obraz rozwoju samej pracy, jak się on odbywał w ciągu dziejów w tych właśnie granicach, począwszy od megalitów nadatlantyckich, zagadkowych zarówno co do swojego przeznaczenia, jak i rąk, które je wznosiły, jak i czasu, kiedy te ręce je wznosiły, kończąc zaś na tunelach, przebijających granitowe Alp podstawy,—na kolejach elektrycznych, na śnieżne tych Alp prowadzących szczyty.

Żyłem tylko wyłącznie wrażeniami chwili. Oddawałem się temu całkowicie, co widzę, i temu co widziane porusza w myśli, wywołuje w uczuciach. Trudno bowiem, a nawet niemożliwe było zmuszać się do zapisywania, co się myślało, czuło, doświadczało, pozostając wciąż pod wrażeniem bezmiaru, przynajmniej dla oczu, przestworza przed sobą i nad sobą nad Atlantykiem, w Alpach i pod sobą. Upajając się powietrzem, przynoszonym bez przeszkód przez wiatr morski z Ameryki nad Atlantykiem, jakimś nowym zmysłem chwytałem jego jasność, niczem nie przyćmiewaną, jego czystość, żadnem dotknięciem nie skalaną, jego lekkość, żadnym ciężarem nie przytłaczaną, chyba tam gdzieś słońcami. Pod bezpośrednim urokiem sił i życia przyrody, owej natura naturans Spinozy, ujętych nieznanym, lub przynajmniej rzadko się budzącym zmysłem, odczuwającym całość wrażeń, rozplywałem się jako cząstka Wszechświata, uwolniona od społecznych bólów człowieczeństwa, w nieskończoności bytu, tracąc powoli wyraźną, częstokroć dotkliwą świadomość tego bytu...

### Nad Atlantykiem.

Francja najdalej sięga w Atlantyk przez Bretanię. Długi ten 250, a szeroki od stu do 150 kilometrów półwysep posiada linię brzegową wynoszącą przeszło 2500 kl., więc na jeden kilometr długości półwyspu wypada dziesięć linii brzegowej. Stosunek ten wymownie wykazuje, jak ta linia łamie się, skręca i zawraca w różnych kierunkach, kiedy taką dostarcza proporcję. Te jej łamania się, skręcania i zawracania tworzą z natury rzeczy liczne w półwyspie zatoki najbardziej rozmaitych rozmiarów i przystanie naturalne, a również liczne, przytykające do półwyspu, stanowiącego już w tym przypadku ląd stały, półwyspki, różnej długości, szerokości, różnych kształtów i kierunków.

Sam brzeg Bretanii jest przeważnie wysoki. Stanowią go skały (falaises), poszarpane przez fale Oceanu; wydrążone w groty, jaskinie, bramy, łuki fantastyczne; porożywane na oddzielne pira-



midy, obeliski, wieżycy, kopuły; poprzecinane na odrębnie sterzące, niby wzgórza i nasypy, wyniosłości przeróżne. Przerwy, zresztą dość częste, pomiędzy skałami wypełniają ławice piaszczyste, sięgające w Ocean na kilkaset nawet metrów (plages). Służą one do kąpieli i są, jako takie, bardzo pożądane.

Już sama linia wybrzeża, wciąż się łamiąca, stanowi wielkie urozmaicenie miejscowości. Potęguje to urozmaicenie jeszcze ciągły ruch wody (marée) w Oceanie. Oprócz bowiem zwykłego, powodowanego falowaniem stałym, lub od czasu do czasu powtarzającemi się burzami gwałtownemi, jeszcze dwa razy na dobę (a właściwie na 25 godzin bez minut lub z minutami, co zależne jest od zmian księżycy i również jak same te zmiany wyrachować się ściśle daje) woda się podnosi na ja-

kich 10—12 a nawet i 15 metrów. Podnoszenie się wody, to jest przyływ (marée montante, flux) trwa zwykle godzin 6 z minutami. Tyleż czasu woda się obniża, to jest odstępuje, odpływa (marée descendante, odpływ, reflux).

Podnosząc się, woda Oceanu zalewa ławice piaszczyste, zniża wysokie i strome brzegi, wrywa się pomiędzy wydrążone, porozrywane i poprzecinane urwiska, wpada do grot i jaskiń, jedne skały zanurza, zaledwie ostre pozostawiając ich wierzchołki, inne oblewa tylko lub całkowicie zatapia. Oblewając, tworzy wysepki. Zatapiając, chłonąc, potęguje szal Oceanu, zwiększa jego przestworza. Znika poprzednia fantastyczność kształtów. Pozostaje sprostowana linia wód, bijących wściekle o zniżone brzegi.

(c. d. n.)

*Ig. Radliński*

# Rusiec.

Wśród puszczy nad rzeką Niecieczą, dopływem Widawki, w Sieradzkim — istniała już w XIV stuleciu wieś Russinowice, może ślad osadnictwa rusińskiego. Musiała to być pierwotnie własność rodu Starzów czyli Toporczyków, skoro lokowali tu miasteczko i nazwali od herbu swego „Toporowem”. Miasto z powodu sąsiedztwa z osadami Widawą, Szczercowem i in. nie mogło się rozwinąć, nawet i nazwa jego nie utrzymała się, jedynie lud o tem pamięta, miano to przekręciwszy na „Tęporów”.

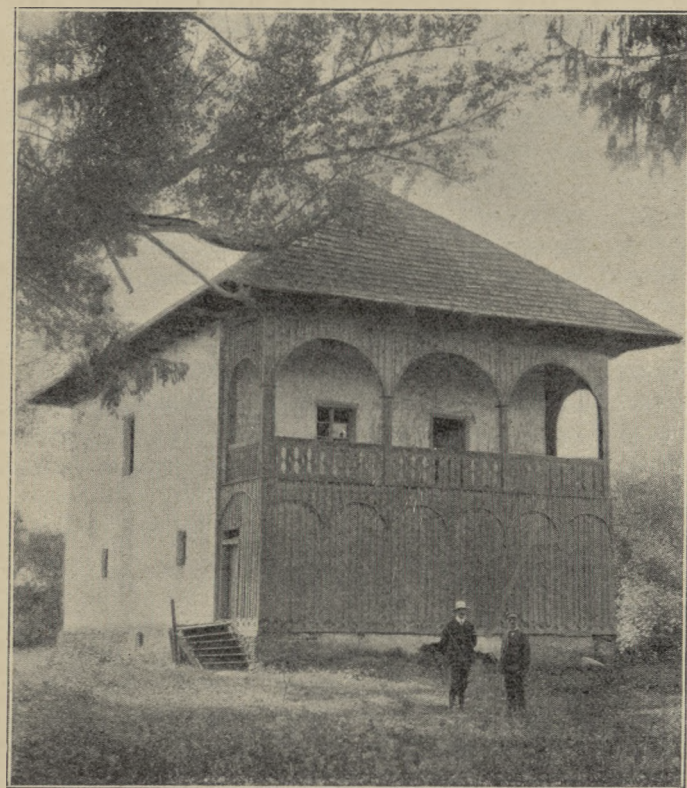
Stary akt z r. 1595, który dostał się w nasze ręce, wspomina, iż „wieś Rusico” była wówczas własnością „urodzonego Jana Strazsa”. Były tu trzy sta-



KOŚCIÓŁ W RUSCU.

wy — zwane „Orzeł, Kraszeński, Koch” — a na nich młyny, zniszczone wtedy przez powódź. Na początku XVII wieku posiadłość Koniecpolskich h. Pobóg, nie miała jeszcze kościoła, a należała do parafii w Restarzewie. Znajdujemy o tem ciekawą wzmiankę w testamencie Aleksandra Koniecpolskiego, wojewody sieradzkiego, spisany w 1609 r. Czytamy tam: „W Ruścu starać się pilno yakoby fundować Kościół yak najlepiej, mamy yusz nań Wyderhafu Złotyeh 60, który zapisałem na Dąmbrowce y theę Xiędzu dziesięćcinę dawać wytyczną z Ruscza, z Kozmicy, z Miasteczka, z Jastrzembicy etc. z pewnym określeniem porządku Kościelnego y włożeniem obowiązku





BASZTA W RUŚCU.

w Erektiey na Fundatory jako przodkowie naszy czynieli". Spetniając niejako wolę dziada, kościół ten zbudował dopiero w roku 1643 Jan Aleksander Koniecpolski, brat hetmana, ówczesny wojewoda braclawski (od 1711 r. — wda sieradzki), uprosiwszy u prymasa Macieja Łubieńskiego kanoniczną erekcyę nowej parafii rusieckiej, oddzielonej od Restarczowa. Więc nie arcybiskup Łubieński był fundatorem kościoła. jak podaje rubrycelą z 1876 r.

Kościół ten już nie istnieje; była to świątynia niewielka, drewniana, z której rumowisko oglądaliśmy przed kilku tygodniami. Na temże samem miejscu dźwignięto w r. 1906 okazały kościół z cegły i kamienia, w stylu wiślano-baltyckim o jednej, frontowej wieży.

W kościele tym znajdują się następujące pamiątki po Koniecpolskich, przeniesione z dawnej świątyni. Więc w ołtarzu wielkim staroświecki obraz na płótnie N. M. Panny, cudami słynący, z napisem u spodu: „Hi(c) imago thaumaturga B. Mariae mea amica. Anno Domini 1615“ — zakrytym teraz ramami. Obraz ten pokryty obecnie sukienką złocistą, z trudnością daje pojęcie o zaletach pędzla. Od Koniecpolskich pochodzić ma też chrzcielnica kamienna, na przodzie z herbami Pobóg i inicjałami fundatora I(an) K(oniecpolski) V(ojewoda) B(raclawski) na kartuszu. W przedsiönku prowadzącym do zakrystyi wisi wielki portret olejny fundatora, różny co do układu od wi-

zerunku J. A. Koniecpolskiego, który ze zbiorów w Podhorcach opublikował Przyłęcki w dziele swoim p.t. „Pamiętniki o Koniecpolskich.“ Przedstawia tu rycerza z brodą, przybranego w kosztowną delię, w postawie klęczącej, około niego buława i pancerz. Pod portretem umieszczona klepsydra herbowa z literami jak wyżej, pochodzi zapewne z trumny fundatora. Oto i wszystko, co pozostało po nim w kościółku rusieckim. Są tam na plebanii jeszcze stare szpargały, których dla braku czasu nie mogłem na razie przejrzeć.

W dawnym parku, nawprost kościoła, w którym piękne aleje lipowe przypominają zamięłowanie przodków naszych do ogrodów, stał dawniej typowy dwór modrzewiowy o łamanym dachu. Zburzony został niedawno, gdyż ludzie we wsi pamiętają go dobrze, a rysunek przechował się na obrazie olejnym w sąsiednim Anopolu. We dworze tym zmarła Anna ze Sroczyń, bogobojna żona Aleksandra Koniecpolskiego, wojewodzina sieradzka, a później i wnuk jej Jan Aleksander Koniecpolski w 1719, ostatni potomek tak zasłużonej dla kraju rodziny.

Wśród rozległych posiadłości Koniecpolskich, Rusiec poczesne zajmował miejsce. Wyraźnie to zaznacza wspomniany już testament Aleksandra z początków XVII wieku, mówiąc; „Koniecpola nie życzę żeby arendować, ale dobrego gospodarza mieć, także i w Ruścu, aby the dwa kawalki ojczyzny naprawić się dziatkom mogły.“ Wielkie tu musiały być lasy a zwierza moc, skoro wspomina, że we dworze w Ruścu przechowuje się dziewięć wielkich sieci zwierzęcych — „około barci w Ruszczu uczynić też dozór“ — zaleca następcom swoim. „Miasteczko thu w Ruszczu po kęsu niech się funduje tam od pola y od Plebaniey“ — przypomina testator. „Domki chędogie z czytami lepieniami jako w Plebaniey, tuszę że się bendą kupili, gdy się ych kilka zbuduie.“ Urządząc miasteczko postanawia: „a ów krawiec stary Szysek niech się wyprowadzi, pomoc mu dawszy, za Kurka ku Pobocznicy, bo tam Zagrodnicy siedzieć będą. Folwarków wszystkich doprawiać, a rolj co naywięcey przyprawiać. Może byđ Ruszcz pożyteczny, gdy się za zboże y Ryby do mieszka kłaść bendzie.“ (Przyłęcki str. 215, 220).

Wśród dawnego parku dworskiego, gdzie piękne szpalery lipowe wkrótce mają iść pod topór właściciela parceli, w pobliżu nieistniejącego już dworu, stoi samotnie wielki gmach murowany, kształtu kwadratowego (13,9 × 10,3 m.), z przystawionym później od frontu gankiem drewnianym. Był on





dawniej o piętro wyższy, czego ślady widoczne pozostały pod wiązaniem obecnego dachu, przypominał więc zamek piotrkowski, zwany też dla kształtu swego „wieżą.“ Ludzie starzy dotąd pamiętają dawny jego dach o dwóch kondygnacjach, dodający mu jeszcze wysokości. Wewnątrz posiada ogromne sklepione piwnice, których mury dochodzą 50 ctm. grubości, a na parterze sięi obszerną ze śladami tarcz herbowych (Topór). Dwie komnaty zarówno tu, jak i na parterze, sklepione niegdyś, z ciekawymi kominkami i posadzką, były znać przeznaczone na mieszkanie, gdy w podziemiach mogły być składy broni i amunicji. Nie był to więc dworek myśliwski, jak nietrafnie — na niewidzianego — określili dzienniki warszawskie, lecz raczej część dawnych umocnień, które ciągnęły się ku rzece. Widocznie dotąd fundamenty otaczały z frontu dawny dwór Koniecpolskich, a stojące na nich mury czy budowle, nadawały warowną postać siedzibie. Za taką ją uważał Jan Aleksander Koniecpolski, wojewoda, zalecając w r. 1609 małżonce swojej, aby w razie niebezpieczeń-

stwa, z Dobruszyc, kędy rezydowała, schroniła się na zamek w Koniecpolu lub do również obronnego Ruśca.

Ciekawej tej budowli zagrażała w ostatnich czasach ostateczna ruina, gdy z powodu parcelacji majątku — posiadłość żyda Znamiorskiego — gmach ten postanowiono zburzyć, materiał przeznaczając na obmurowanie nowego kościoła. Zapobiegł temu niżej podpisany delegat Towarzystwa Opieki nad zabytkami przeszłości na strony tutejsze, który dobrawszy sobie dwóch członków Piotrkowskiego Tow. Krajoznawczego, umyślnie zjechał na miejsce, aby sprawdzić wartość, obmyśleć środki konserwacji oraz utrwalić piórem i fotografią widok starej wieży w Ruścu. Porobione przez delegację tę fotografie i plany stwierdzają dowodnie, że gmach ten godzien zachowania, zwłaszcza, że może być jeszcze użyty na mieszkanie, a daje nam przykład jednego z rzadkich już zabytków budownictwa warownego z XVI wieku. Rozbiórkę wstrzymano.

*Michał R. Witanowski.*



## O zamkach polsko-inflanckich.

Ostatni starosta maryenhauski, Justynian Hylzen, nie zdołał przekazać starostwa swemu synowi, gdyż Katarzyna II oddała je w dziedzictwo swemu ulubieńcowi J. Jełaginowi w roku 1778.

Niedaleko jeziora, na którego wyspie wznoszą się szczątki zwałisk obronnego zamku maryenhauskiego, odkryto w r. 1883 starożytne cmentarzyisko. Rozkopywał je zmarły prezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego ś. p. Z. Gloger, który w tymże mniej więcej czasie zwiedzał Inflanty polskie, i znalazł tu wielką ilość ozdób bronzowych i wyrobów żelaznych, a mianowicie: 15 pierścieni, 60 dzwoneczków i brząka-deł, kilkanaście naramienników, sprzączek, kilka naszyjników, kilkadziesiąt guzów, wiele łańcuszków, wisiadeł blaszkowych, wielką moc perełek szklanych najrozmaitszej wielkości i barwy, tudzież kilkaset sztuk białych muszli, jakie dotąd służą za monetę w Indyach, Tybecie i Sudanie, przedziurawionych do nawlekania, a których cały sznur znajdował się na szyi każdej pogrzebanej kobiety.





Przy wojownikach leżały żelazne groty oszczepów i bardysze czyli siekiery do podpierania i walki służące.

Przechodzę do ostatniego zamku polsko-inflanckiego, założonego najdawniej, a pomimo to świetnie utrzymanego i po dzień dzisiejszy zamieszkanego. Tym zamkiem jest Kryżbork nad Dźwiną.

## VI.

Kryżbork, po niemiecku „Kreutzburg“, zamek starodawny i okazały, na prawym brzegu Dźwiny, w Inflantach polskich powiecie dyneburskim, założony został przez bpa ryskiego Mikołaja I de Nauen w roku 1237; biskup ten panował od roku 1229—1253 i był następcą Alberta I, założyciela Rygi i związkowego państwa inflanckiego. — Zamek ten u kronika-

rzy inflanckich i w dokumentach z XIII i XIV stulecia nazywany stale Cruceborch. Tem-

że mianem oznacza go pomiędzy innymi także słynny Herman de Wastberge, który w r. 1378 ym spisywał swój „Chronicon Livoniae.“

Nie braknie i rozlicznych widoków zamku kryżborskiego. Słynny badacz starożytności inflanckich, Jan Krzysztof Brotze podaje ich kilka w tomie V a jedną w tomie VII swego dziesięciotomowego dzieła p. t. „Sammlung verschiedener Livlandischer Monumente“, stanowiącym najcenniejszy unikat rękopi-

śmienny biblioteki miejskiej ryskiej. Wszystkie one atoli wykonane są przy końcu XVIII stulecia, a zarówno przedtem jak potem zamek ten siedmiowiekowy ulegał w kolejach czasu licznym przeobrażeniom. Załączamy tu widok jego z roku 1792, wykonany starannie piórkiem przez wspomnianego zbieracza, a do użytku Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w tych dniach na moje żądanie od-fotografowany.

Niemal w sto lat później odrysował tenże zamek p. Bogusław Kraszewski, bawiąc czas jakiś w Kryżborku i jego okolicach w r. 1882. A że przedstawiał zamek w jego stanie obecnym, różni się ów rysunek znacznie od widoków tegoż zamku, umieszczanych w dziełach już-to krajoznawczych, już historycznych, a czerpanych ze zbiorów Brotzego, utworzonych w XVIII stuleciu.

Zamek ten bowiem i w połowie XIX wieku ulegał przemianom. W tym czasie dziad dzisiejszego dziedzica, odnawiając siedzibę swych antenatów, odmienny nadał kształt bastyonom i wieżyczkom zamkowym, a także kazał znieść wiele charakterystycznych, lecz zdaniem jego architekta zbyt przestarzałych ozdóbek zewnętrznych kilkunastowiekowego gmachu.

Z załączonej tu fotografii, zdjętej z rysunku Bogusława Kraszewskiego, dostrzeże czytelnik, że pomimo wyraźnych usiłowań architekta nadania zamkowi cechy nowożytnej, pozostało w nim jeszcze coś, co i dzisiaj dawną warownię przypomina.

Niezwykle mocne mury i baszty, silne krzyżowe sklepienia, podtrzymujące część dolną, pozostawiły czworobocznemu gmachowi charakter poważny i surowy, który nam przypomina, jak ściśle ten zamek z krwawą przeszłością Inflant jest związany.

Nie chcąc przedłużać treściwego opisu czworobocznego gmachu, jego sal i komnat oraz całego



KRYŻBORK w XVIII wieku.

Fig. rys. J. K. Brotzego.



ALMA REDEMPTORIS MATER  
patronka zamku maryenhauskiego.

z albumu „Terra Mariana“





KRYŻBORK w XIX w.

rys. Doj. Kruszeuskiego.

planu, na co ramy „Ziemii“ są zbyt ciasne, ograniczając się na następujących uwagach:

Wnętrze zamku, po dzień dzisiejszy najstaranniej utrzymane i całkowicie zamieszkałe, obfituje w pamiątki historyczne i rodzinne z czterech ostatnich stuleci.

Zamek ten, niegdyś warowny, w roku 1577 opanował Iwan Groźny, z którego mocy wydarł go napowrót bohaterski król Stefan Batory, a w lat kilka potem za zasługi wojenne oddał go wraz z ziemiami na prawie lennem Mikołajowi Korffowi. Tego Korffa pamiątknik, niewyzyskany dotąd przez naszych badaczy, rzuca nowy snop światła na wojny Batorego, gdyż w nich autor czynny brał udział. Jako relikwia rodzinna przechowuje się dotąd w zamku puchar srebrny, darowany przez króla Stefana temuż Mikołajowi Korffowi a ozdobiony jego herbem i napisem z rozkazu króla w obozie królewskim wykonanych.

Syn tegoż Korffa, także Mikołaj, za zasługi wojenne otrzymał od Zygmunta III na własność dziedziczną dobra lenne Kryżbork w r. 1623 i odtąd ta gałąź Korffów podpisuje się „na Kryżborku Korff.“

Pod Kryżborkiem doścignął w r. 1626 Aleksander Gosiewski uchodzącego z pod Liksny szwedzkiego generała Horna, kiedy ten, połączysz się z Gustawem Adolfem, stanął do bitwy. Lecz i Gosiewskiemu przybył na pomoc Lew Sapieha, hetman w. litewski. Szwedzi usiłowali przepawić się przez rzekę, za którą stało wojsko Rzpltej uszykowane do boju. Gdy zaś pod Gusta-

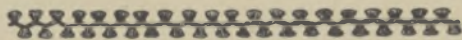
wem Adolfem konia ubito, cofnęli się Szwedzi do zamku Dahlen, ten zaś niebawem przez Polaków został opanowany.

W roku 1632 Nicolaus Korff a Crucobosch, dictus Schmyttag, był posłem Ziemi Inflanckiej na sejm.

Za króla Jana Kazimierza Korffowie kryżborscy wstawili się w sprawach wojennych, a mianowicie Mikołaj, natenczas wojewoda wendeński, i Wilhelm, starosta wileński.

Dobra zamku kryżborskiego niezwykle rozległe, ciągną się nad prawym brzegiem Dźwiny na przestrzeni kilkunastu mil, od stacy Carogrodu aż dwie mile za stacy kryżborską. To też stacy Liwenhof, Treppenhof i Kreutzburg na kolei rysko-dyneburskiej wzniesione są na ziemi do zamku kryżborskiego od wielu wieków należącej.

*Gustaw Manteuffel.*



## Sven Hedin w Tybecie.

17)

Chwile wolne od tych studyów nad życiem klasztorzem spędzał Hedin na rozglądaniu się po mieście. Niepoślednią ku temu pomocą okazały się skutki znajomości, zawartej w Leh z bogatym kupcem Hadzi Nazer Szachem, który i tu, w Szigatse, miał swoją filię handlową i jednego ze swoich synów Gulam Kadira. Filia w Szigatse zajmowała się przeważnie sprzedażą złotem tkanych matery z Benaresu i Chin, co jak sam Gulam Kadir przyznawał, dawało do 6,000 rupii rocznego dochodu. Ale oprócz tego wysyłano też do Ladaku herbatę,

której jeden transport odszedł właśnie w czasie bytności Hedina. Karawana taka składała się z 201 yaków, z których każdy niósł na sobie 24 cegiełki herbaty. Biorąc pod uwagę, że cegiełka taka kosztuje w Szigatse 6 rupii, w Ladaku zaś 9—11 i że wynajęcie yaków kosztuje niewiele, bo się je pasie trawą przydrożną, jedna taka wyprawa, trwająca coprawda więcej niż pół roku, przynosi kupcowi wcale pokaźne zyski.

Skoro już mowa o handlu, warto wspomnieć o bazarze w Szigatse. Obszerny, otwarty na wszyst-





kie strony plac na ten cel przeznaczony leży na południe od Dzongu. Przez dwie godziny dziennie rozkładają się na nim — wprost na ziemi, bo ławek ani stolików niema — całe gromady kupców, wyłącznie niemal krajowców i w ogromnej większości kobiet, które sprzedają, czego tylko dusza tybetańska zapagnie: naczynia, żelazto, tkaniny, korale, perły szklane, muszle, nici, igły, farby, tanie olejodruki, korzenie i cukier indyjski, fajki, figi i herbatę, skóry i ogony yaków z Tszangtangu, nabożne księgi, słomę, siano i sól, pomarańcze z Sikkimu, konie, owce i osły. Każda z tych kupcowych, sprzedając zresztą grzecznych i przyjacielskich, ma na głowie ogromną fryzurę z nieodstępnym gaosem w kształcie łuku, zdobionego taniem świecidlami i fałszywymi kamieniami; przypuszczać można, że gdyby zamiast tych ozdób zechciały trochę więcej czasu poświęcić myciu twarzy i oczyszczeniu ubrania, którego pierwotnego koloru nikt już dzisiaj dojść nie byłby w stanie, niektóre z nich mogłyby być dość miłe. Ale twarze są nietylko niemożliwie brudne, ale jeszcze rozmyślnie malowane na czarno, czasem z białym albo świecącym jak metal nosem, co się datuje jeszcze z tych czasów, kiedy moralność lamów pozostawiała bardzo wiele do życzenia i kiedy jeden z arcykapłanów czuł się obowiązany wydać rozporządzenie, żeby żadna z kobiet nie pokazywała się publicznie bez twarzy umalowanej na czarno. Dziś stosunki, o ile je podróżnik mógł zbadać w przelocie, zmieniły się na lepsze, malowanie wychodzi z mody a wstrzemięźliwość lamów nie pozostawia tak wiele do życzenia. Jedyny, jaki za bytności Hedina w Szigmatse zaszedł, wypadek złamania ślubu czystości, ukarany był natychmiastowem wyłączeniem winnego z grona mnichów.

Jedną z dalszych rozrywek było też przyjmowanie gości na swoim podwórku. Tych przynajmniej nigdy nie brakło i po pewnym czasie stało się, jak się zdaje, prosto zwyczajem i modą odwiedzać cudzoziemca w jego namiocie, zwłaszcza, że cudzoziemiec ten za pozowanie do fotografii lub do rysunku płacił wcale niezgorzej. Przychodził więc kto żył i kto chciał. Czasem jakiś mnich z drewnianymi rękawicami, których używa przy „opelnaniu“ świętych miejsc dokoła, czasem mniszki, z których jedna miękkiem i melodyjnym głosem śpiewa jakieś pieśni nabożne, podczas gdy druga pokazuje na rozwieszonych na ścianie obrazkach odpowiednie do tekstu ilustracje, czasem jakaś 17-letnia piękność miejscowa, która cały brud swoich 17 lat nosi na twarzy, albo muskularna, o męskich rysach twarzy kobieta z pustyni, albo wreszcie grubokościste, ale miłe i wyjątkowo czyste dziewczęta z pod Tengri-noor w futrach baranich przybranych niebieskimi i czerwonymi wstążkami.

Jedni po drugich siadają do pozowania, chętnie ale poważnie, bez cienia uśmiechu na twarzy, bez żywszego zainteresowania w oczach, pozbawionych blasku i życia.

Kiedyindziej znów, zwłaszcza później, kiedy stosunki stały się mniej przyjacielskie, było pusto, tylko nieprzeliczone stada dzikich gęsi z krzykiem i szumem przelatywały nad samym ogrodem, tylko ciemne i poszarpane chmury, sypiące kłębami śniegu, przygniatały całą dolinę, z której jedynie białe mury Dzongu wylaniały się chwilami jak zjawa. W długich i żalosnych poświstach zawodził wicher, szarpiąc nagie gałęzie topol w ogrodzie, było posępnie i mroczno, jak tam wyżej na północ w pustyniach Tszangtangu.

W takich chwilach staje żywiej i bardziej plastycznie przed oczyma, jak daleko jest się od swoich, jak też dziwną mieszaniną prastarej cywilizacji i pierwotnego barbarzyństwa jest to wszystko, co dokoła otacza. Bo jeśli sam ustrój życia i bytu klasztorowego nie odbiega zbyt daleko od tego, do czegośmy w Europie przywykli, to już np. ceremonie pogrzebowe w Tybecie wywołują poprostu dreszcz zgrozy. Właściwie mówiąc w słowie „ceremonie“ jest pewna nieścistość, ceremonii bowiem, obrzędów prawdziwego czy udanego żalu przy chowaniu zmarłych niema tam wcale. Trzyma się trupa dzień, dwa lub więcej, zależnie od zamożności, od pieniędzy, jakie się przeznaczają dla lamów, odprawiających przy zmarłym modlitwy. Później, kiedy już podług orzeczenia tych biegłych dusza się ostatecznie odłączyła od ciała, wywozi się nieboszczyka nocą, niemal pokryjomu i oddaje go się lagbasom, kaście specjalnie tem zajmującej się i pozostającej zresztą w najwyższej pogardzie. Ci obowiązani są, nie czekając wschodu słońca, załatwić się ze swoim zadaniem. Przywiązują zatem trupa za głowę do wkopanego w ziemię słupa, wyciągają go jak można najsilniej, co niezawsze jest łatwe, biorąc pod uwagę, że lamowie umierają w pozycji siedzącej, obciągają skórę i zwabiają sępy, które się rzucają na mięso. Kości potłuczone na proszek i zgniecione na płatek z mózgiem — czynności tych dokonywa się wprost rękami — rzuca się również na pożarcie. Tak kończy każdy, równie dobrzy dzieci, jak starcy, mężczyźni, jak kobiety, lamowie jak świeccy; żadnych pomników, żadnych cmentarzów, żadnych miejsc, gdzieby można mieć choćby cień złudzenia obecności istoty, którą się niegdyś kochało i czciło. Coprawda w dreszczu wstrętu i rozgoryczenia idzie Sven Hedin tak daleko, że samo nawet istnienie podobnych uczuć w Tybecie stawia pod znakiem zapytania, twierdząc, że tam, gdzie kobieta ma równocześnie kilku mężów, gdzie niewiadomo czyim się jest synem i ojcem, tam na uczucia rodzinne miejsca niema i być niemoże.





Przechodząc nad tą kwestią do porządku dziennego, zaznaczmy, że zwierzęce to barbarzyństwo nie jest jednak pozbawione pewnej żelaznej prostolinijności myśli, widzącej człowieka — istotę nieśmiertelną—tylko w tem, co zniszczeniu nie podlega i co z ciałem jest tylko luźno i chwilowo związane.

Ale powróćmy do życia w Szigatse. Wzamię za wizyty, które się odbierało, były inne, które trzeba było samemu składać. Jedna z ważniejszych i ciekawszych była wizyta u Kung-Guszuka, młodszego brata taszy-lamy, mało zresztą tak twarzą jak usposobieniem do niego podobnego młodzieńca. Przy swoich 21 latach był on również mało rozgarnięty, jak tamten, mało co starszy od niego, wyrobiony umysłowo; na miejsce zaś pewnego uduchowienia i marzycielstwa, które tak uderzająco malowały się w postaci młodego arcy-kapłana, świecki jego braciszek był zapamiętałym zwolennikiem zabaw, mało nawet z jego wysoką godnością licujących. Powiedzmy poprostu zgrywał się po nocach w hazard i brnął w długie po uszy. Zresztą w domu, jak to od pierwszego spojrzenia można było osądzić, był niczem, wodze bowiem trzymała jego małżonka, dama okazałych rozmia-rów i dobrze już podniszczona, o wymokłej cerze i oczach rybich, które sama się przyznawała do 33 lat, wyglądała na 45, a była do niedawna żoną nie tylko Kung-Guszuka ale i jego starszego, zmarłego już brata.

Wnętrze domu i mieszkania, do którego się po dwóch do drabin podobnych piętrach schodów wchodziło, nie było pozbawione przepychu, jaki świeckiemu księciu i władcy prowincji przystoi. Ściany przedpokoju były ozdobione obrazami, przedstawiającymi tygrysy i leopardy, sufity pokoi oparte były na czworobocznych, czerwono malowanych słupach z rzeźbionymi niebiesko-zielonymi kapitelami. Wzdłuż ścian ciągnął się rząd złożonych szafek z bóstwami, przed którymi paliły się lampki; na ścianach chorągwie kościelne, gdzie niegdzie fotografie taszy-lamy, z czasów ostatniej, wspólnie odbytej podróży do Kalkuty, o której zresztą Kung-Guszuk tyle tylko pamięta, że tam jest przeraźliwie gorąco. Tu natomiast w jego własnym mieszkaniu jest chłodno, posępnie i ciemno, zwłaszcza, że okna są zasłonięte ciężkimi portyera-mi, a zamiast szyb wyklejone są papierem i w dodatku okratowane. Przed oknem zajmującym całą szerokość ściany długa i niska sofa, pokryta skórą pantery, przed nią dwa złożone stoliczki, obok u ściany poprzecznej tron, na którym zasiada taszy-lama, o ile brata swego odwiedza. Niemniej ciemne, niemal kościelne, jeżeli nie więzienne, są wszystkie inne pokoje, nie wyjmując „gabinetu“ pana domu i sypialni pełnej posążków, chorągwi i czar.



KSIEŻNA KUNG-GUSZUKOWA  
z najmłodszym bratem taszy-lamy.

Nie obeszło się i tu oczywiście bez portretu, o który pani Kung-Guszukowa przystała wręcz zapisać i prosić zaraz przy pierwszej wizycie. Mniejsza już nawet o to, jak długo trzeba będzie pozować, byle tylko portret się udał. Za to nagrodzony został uprzejmy rysownik widokiem całego zbioru kosztowności, pereł, turkusów i koralu, jakie dostojny model na siebie powkładał.

Ale już się tymczasem nad z dnia na dzień coraz więcej rozciekawionym, rysującym, zwiedzającym, wypyującym się podróżnikiem zaczęło znowu niebo zachmurzać. Chińczycy, którzy z początku zdawali się być oszołomieni niespodziewanem i jak grzecznie dawali do zrozumienia bezczelnem wtargnięciem cudzoziemca do zakłętego Tybetu, przychodzili do siebie. Zaczęły się nieskończone pertraktacje, korespondencje, powoływanie się na paragrafy traktatów, grożenie siłą zbrojną i fizycznym przymusem i mniej lub więcej szczerze ubolewanie nad twardą koniecznością, która im tak znakomitego uczonego każe za drzwi wy-



prosić. Wszystko to odbywało się w formie niezmiernie uprzejmej, z zastanianiem się każdorazowo wyższym rozkazem, ale że nie żarty to były, widział Hedin choćby z tego, że nieszczęsnemu Hładsze-Tseringowi, który go przepuścił w Ngangtse-tso, nietylko odebrano urząd, ale skonfiskowano majątek. Nie pomogły wstawiennictwa posła szwedzkiego w Pekinie ani nawet rządu japońskiego, któremu Chińczycy dali jedyną w swoim rodzaju odpowiedź, że o ile Sven Hedin jest w Tybecie, o czym zresztą oni osobiście powątpiewają, to już go stamtąd dawno musiano wydalic.

Zaczęły się małe szykany, zawsze zresztą uboczne i uprzejme, co gorsza skończyły się wizyty w klasztorze. Już oddawna zauważał Hedin, że pewna część mnichów mało jest jego włóczę-

niem się po wszystkich zakątkach zbudowana, aż doszło do tego, że proszono go wręcz, aby nadal do klasztoru nie wchodził. O wizytach u taszy-lamy oczywiście nie mogło być mowy, choć skądinąd Hedin wiedział napewno, że z tej strony nic mu nie grozi i że jeśli taszy-lama nie chce go widzieć, to tylko ze strachu przed Chińczykami. Tak czy owak trzeba było wyjechać. O przyjęciu propozycji chińskich, aby wracać tą drogą, którą przyszedł, nie myślał Hedin oczywiście ani przez chwilę a jechać do Gyangtse dla zbytnej bliskości granicy angielskiej, także uie miał ochoty; stanęło więc na tem, że wróci wzdłuż Bramaputry, drogą z góry określoną i opisaną, od której sobie zresztą tu i owdzie obiecywał zrobić odstępstwo.  
c. d. n. St. Th.

## GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

### XVI.

Przysłowiowa musztarda po obiedzie ma to do siebie dobrego, że się może przydać do następnego obiadu. To też chociaż czas wycieczek i wypraw już mija właściwie, chciałbym o nich powiedzieć słów parę, mniemając, że ustalenie kilku zasadniczych punktów wytycznych może się równie dobrze przydać dziś jak jutro i że w tej mało aktualnej sprawie lepiej może byłoby przemyśleć sprawę teoretycznie, zanim się zacznie wnosić w życie wprowadzać.

Nie mam zresztą bynajmniej zamiaru kreślić wyczerpującej metodyki wycieczek, choćby dlatego, że sprawa to i dla przyszłości naszego krajoznawstwa i nawet w całym naszym życiu społecznym tak ważna, że wymagałaby raczej może obszerniej rozprawy, aniżeli ulotnych uwag na marginesie, traktujących z musu rzecz epizodycznie i pobieżnie. To też zanim się poglądy na sposób odbywania wycieczek ułożą u nas w system, który już będzie naszym własnym, polskim systemem, zanim praktyka dostatecznie wyjaśni wszelkie punkty sporne i wątpliwości, dobrze jest od czasu do czasu omówić rzecz choćby z jednego punktu widzenia, pozostawiając dopasowanie poszczególnych części do jednolitej całości dalszej przyszłości.


Jedną z takich niewątpliwie najważniejszych spraw naszego przyszłego systemu wycieczkowania jest kwestya nakładu sił fizycznych, jakie są do odbycia wycieczki potrzebne, kwestya, powiedzmy nawet, nieuchronnego wysiłku. Pod tym wzglę-

dem, jeśli się nie mylę, panują u nas pojęcia najzupełniej rozbieżne i traktujące rzecz raczej z punktu widzenia swych osobistych upodobań, aniżeli ze stanowiska jedynie w tym wypadku racjonalnego, ze stanowiska jak największego pożytku i owocności wycieczki.

Jedni—tych jest po wyłączeniu młodzieży, trzy czwarte jeśli nie dziewięć dziesiątych naszego wycieczkującego ogółu—twierdzą, że wycieczki urządzić należy z zupełnem przedewszystkiem wyłączeniem zmęczenia i, że wybierając z dwojga, lepiej skrócić lub uprościć wycieczkę, niż narazić się na przykry wysiłek. Inni—tych jest zresztą całkiem znikoma mniejszość—stoją na stanowisku wręcz przeciwnem, że tylko wycieczki uważają za udane i warte wspomnienia, które się odbyły kosztem najwyższego wytężenia sił i rzetelnego nieraz zajrzenia w oczy niebezpieczeństwu. Na boku stoi spora także gromadka, przeważnie z nowicyuszów złożona, która zamiary mierzy na siły, rzuca się bez żadnych obliczeń na oślep i najczęściej po kilku dniach wypluwa niedokonany zamiar, jak młody psiak wypluwa kamień, który mu się na pierwszy rzut oka wydawał jadalnym.

Otóż mnie się zdaje, że bardzo znaczny procent wycieczek nieudanych, albo niedokonanych, albo dokonanych nie tak, jakby je należało dokonać, pochodzi stąd, że się przyjmuje fałszywy punkt wyjścia, że się wlepie z uporem w oczy nie we właściwy cel wyprawy, tylko w inny obok niego leżący. Bo celem wycieczki nie jest nadmierny ani najmniejszy wysiłek, tylko jest odświe-





żenie i wzbogacenie umysłu bezpośrednimi wrażeniami, czerpaniem z pierwszej ręki na gruncie i wykąpanie duszy w odżywczej, wiecznie czystej i świeżej krynicy natury. Rzecz prosta, wysiłek fizyczny nie powinien przytem dochodzić do tego punktu, w którym nietylko mięśnie, ale i zmysły odmawiają już posłuszeństwa bezmała, ale też z drugiej strony jedną z tajemnic powodzenia wycieczki jest bezsprzecznie umiejętność odsunięcia tego właśnie punktu do granic możliwie odległych, jest możność zachowania jak najdłużej całej świeżości sił i wrażliwości.

Do tej pory, jak myślę, zgadzamy się wszyscy. Ci, którzy we wszelkim wysiłku upatrują wroga swej przyjemności, rozumują tak samo i tak samo pragną jaknajdalej odsunąć moment zmęczenia, tylko wybierają do tego sposób mniej pewny i mniej wartościowy, idąc drogą nadmiernych ułatwień, zbytecznych wygódek i poświęcenia rzeczy najbardziej nawet ciekawych rzeczom banalnym, ale łatwym do wykonania. Stąd w prostej linii wynika skutek, że u nas, gdzie ilość ułatwień i udogodnień, czekających turystę na miejscu jest bardzo niewystarczająca i skromna, u nas podróżuje się mało, jeździ się utartymi szlakami i wraca się z wycieczki niezawsze z uczuciem zadowolenia.

Jest jednak przecie inny, pewniejszy i bardziej celowy sposób zapobieżenia złemu. Tym jest świadome i systematyczne hartowanie organizmu, a przedewszystkiem rozstanie się z tysiącem przyzwyczajzeń, przesądów i rozpieszczeń. Gdyby u nas fizyczne wychowanie narodu postawione było na takim stopniu, jak na to zasługuje i na jakim dziś już we wszystkich społeczeństwach europejskich znajduje się teraz, nie wymagałoby to żadnych dalszych wyjaśnień i do jej prawidłowego rozstrzygnięcia przyszyłoby się samemu drogą naturalną i nieznaną zbroceń. Ale niestety tak nie jest. Jesteśmy dziś jedynem bodaj w świecie cywilizowanym społeczeństwem, którego część najbliższa (w całym zaborze rosyjskim) pozbawiona jest możności czuwania nad swoim wykształceniem nietylko umysłowym, ale i fizycznym, w którym kilka istniejących stowarzyszeń sportowych vegetuje raczej niż rozwija się i w którym jest wskutek tego tyle, jak nigdzie indziej, niedołączonych fizycznych, skrzywionych kręgosłupów, piersi, które nie umieją oddychać, nóg, co raczej do siedzenia niż do chodzenia służą.

Z drugiej strony, jako wynik tych samych zresztą warunków zewnętrznych, życie nasze zwłaszcza w miastach kształtuje się w sposób istotnie mizerny i płytki, dzielone między trudy życia zawodowego, traktowanego najczęściej bez zapалу i umiłowania i drażniące, narkotyzujące rozrywki, do których zresztą przystępujemy częściej z fałszy-

wym apetytem, niż ze zdrowym, potrzebującym ujścia temperamentem.

Tacy ludzie, gdy idą na wycieczkę, nic dziwnego, że są nierzadko niczem więcej, jeno pierwszorzędnym materiałem dla satyryka. Pierwszy lepszy deszcz wznieca popłoch, mający wszelkie cechy żywiołowej paniki, przejście kilku mil na piechotę wydaje się przyjemnością godną raczej konia, niżli człowieka, a przespanie nocy pod otwartem niebem absurdem, skoro ją można spędzić w trochę tylko robaczywym łóżku jakiegoś dusznego i smrodliwego zajazdu. W rezultacie, wycieczka, która mogłaby trwać trzy dni trwa tydzień, zamiast obejrzeć dziesięć miejscowości, obejrzy się cztery, a co najgorsza od dobroczynnego, kojącego wpływu natury pozostaje się przez cały czas jakby izolowanym nieprzeniknionym płaszczem drobnostkowych obaw o swoje prawdziwie po filistersku traktowane zdrowie i po sybarycku odczuwany spokój.

A tymczasem na dalekim „zdemoralizowanym“, „przeciwilozowanym“, że już nie powiem za przykładem „zdrowych“ sąsiadów ze Wschodu „zgnitym“ Zachodzie, budzą się nowe, świeże jak ożywcze tchnienie sosnowych borów, pojęcia. Powstaje „camping“. Co to jest?—sport, dziwactwo czy kaprys mody. Nie wiem. Niema jeszcze dziesięciu lat od pierwocin tego nowego zwyczaju i nie czas jest jeszcze na wydanie o nim ostatecznego sądu. Natomiast jest wielki już czas, żeby się z nim nieco bliżej zapoznać.

„Camping“ zatem jest to odmiana sportu kolowego z zastrzeżeniem, że wszystko, co jest podróżnikowi potrzebne zabiera on ze sobą, że je, śpi odpoczywa tam, gdzie mu wola, poza obrębem wszelkich utartych szlaków, oberży, noclegów i wyznaczonych z góry etapów. Wątpić można czy w ten sposób podróż wypada taniej, być może jest nieco mniej wygodna, trudno natomiast zaprzeczyć, że daje podróżnikowi całkowitą niemal niezależność, że upraszcza znacznie ułożenie marszruty i że poza tem daje mu pewną, wcale niemałowartościową sumę mniej powszednich wrażeń. A co mu już za najwyższą zasługę poczytywać potrzeba, robi z nieporadnego, bezbronno niemal wobec każdej przeciwności niedołęgi istotę, która własną wolą i własnymi mięśniami toruje sobie drogę—na razie w podróży.

Oczywiście nic łatwiejszego, jak wpaść tutaj w przesadę, jak puścić cugle zamiłowaniu do ekscentryczności—camping urodził się w Anglii—ze środka zrobić cel, a z podróży ogólnie kształcącej humorystycznie dziwąką wyprawę, poszukującą quasi-przygód i łamiącą quasi-niebezpieczeństwa. Ale nie mówiąc o tem, że niema rzeczy, którejby do dziwactwa nie dało się doprowadzić, przynajmniej, że takiemu napięciu energii i sił fizycznych





musi odpowiadać większe napięcie sił umysłowych i że w takiej, własną ręką torowanej podróży, trudno iść z zamkniętymi oczyma. Oczywiście nie wszędzie i nie odrazu taki tryb „życia obozowego“ możnaby zastosować odrazu. Nie bez powodu miejscem jego narodzin był kraj, gdzie rozwój sił fizycznych jest uważany za jedno z najważniejszych zagadnień pedagogiki narodowej, gdzie gry na wolnym powietrzu są najbardziej ulubioną zabawą, gdzie ideałem człowieka jest istota o żelaznych mięśniach, ale i niemniej żelaznej woli, kraj wszelkiego rodzaju championów i bokserów, ale i kraj wielkich podróżników, którzy się nie zwykli cofać przed niczem.

Nie myślę też, żeby u nas można zastosować „camping“ bezwzględnie, ani zwłaszcza, żeby można szersze warstwy namawiać do przyjęcia w tem nowem życiu udziału. Oczywiście tu i owdzie zdarza się u nas spotkać ludzi, którzy w ten sposób podróżują. Ale nie omylę się chyba, twierdząc, że poza Tatrami i poza szczupłą garstką młodzieży ilość ich niewiele jest wyższa nad zero. Lubi się u nas las, zwłaszcza kiedy omieciony i czysty, ale żeby w nim spać, nie przychodzi nikomu na myśl, bo, bo... przyjętem jest spać w łóżku, a nie w lesie; lubi się wodę, zwłaszcza jadąc statkiem do Młocin, ale żeby na niej spędzić kilka dni, moknąc na słocie, borykając się z falą i wichrem, trzeba być pozbawionym nie jednej, ale wszystkich pięciu klepek; podziwiał się burzę, ale z pokoju o szczelnie zamkniętych oknach, żeby w przeciąg piorun nie trzasnął. I tak pomału, pomału człowiek się od urodzenia do śmierci oddaje jak w entreprzyę jakimś niewidzialnemu przedsiębiorstwu, które go ubiera, żywi i kładzie do łóżka, w oznaczonych godzinach prowadzi w oznaczone miejsca na spacer i zaoszczędza możliwie jak najwięcej fatygi, dając wzamian za to możliwie jaknajmniej swobodnego, całą piersią branego życia. I gdyby tych biednych ludzi wyjąć nagle z otaczającego ich rusztowania utartych i wydeptanych, jak stare pantofle, formułek i szablonów, byłiby jak wypuszczone z klatki kanarki, które nie wiedzą co począć ze sobą i które mało nawet zgrabny kot schrupie.

Być może moment, jaki dla tych uwag wybrałem jest nieco niewdzięczny. Teraz, kiedy jedna za drugą zdarzyło się w Tatrach kilka przerażających katastrof, kiedy opinia jest wzburzona „lekomyślnością“ i „fanfaronadą“ nieogłędnych turystów, niełatwo jest namawiać ludzi, żeby zrywali z rutyną i własnych ścieżek szukali, na których od najwyższych rozkoszy duchowych do rozbitcia

łba wszystko może ich spotkać. Ale to nie byłby mocny argument. W każdym społeczeństwie, na każdym stopniu rozwoju, jest, musi być pewien odsetek ludzi, których nadmiar temperamentu czy poprostu szczególna organizacja psychiczna pcha nie tylko w kierunku najwyższych wysiłków, ale i do igrania z niebezpieczeństwem, choćby za cenę życia. Dawniej tacy ludzie byłiby może awanturnikami, czy conquistadorami, puszczającymi się na przygody w dalekie, nieznanne kraje, pełne w ich przypuszczeniu przynajmniej nadnaturalnych istot i niebezpieczeństw; może też, jak u nas, byłiby zagończykami, spędzającymi życie na podchodzeniu czerni tatarskiej w stepach, może myśliwymi, biorącymi z błyskiem namiętności w oczach niedźwiedzia na oszczep, a może tylko warchołami, wywracającymi wszelki porządek społeczny. Dziś o ile obok temperamentu obdarzeni są szerszym umysłem i odpowiedniemi przygotowaniem, zostają znakomitymi podróżnikami, — Nansenami, Stanleyami, Hedinami, — w braku zaś sił, środków i szczęśliwego zbiegu okoliczności poprzestają na karkołomnych chociażby wyprawach sportowych. Przetnijcie im — o ile to jest możliwe — tę drogę, zmuscie ich do truchtu, kiedy ich coś ponosi do cwału, a z tą samą niepomąganą pasją rzucają się w większości wypadków w bagno pijaństwa, rozpusty i hazardu, na czem chyba ani oni sami, ani społeczeństwo niewiele zyska.

Niema zaś obawy, żeby ich przykład się stał zaraźliwy. Z niebezpieczeństwem można się oswoić, do poszukiwania niezwykłych przygód można się wciągnąć, ale znakomita większość ludzi ma zawsze w sobie samym bezpiecznik, nie puszczający ich za pewne granice.

Takie są zatem dwa krańce. Z jednej strony ci, których coś „roznosi po świecie“, którzy lubią na nim „narobić mątu“, z drugiej szary tłum wyemoczków, którzy celowo i uporczywie oduczają się chcieć, pożądać, walczyć, ruszać się, marząc o tem, żeby im życie płynęło równem, gładko wyasfaltowanym korytkiem po możliwie najprostszej linii.

Środkiem jest całkiem dosyć miejsca dla tych, którzy nie chcąc wpadać w ostateczności, czują przecie w sobie nieprzemogioną chęć wyjść poza ramy zwykłego kręcenia się w kółku, podniesienia głowy do góry, złapania tchu całą piersią i wzięcia w mocny, serdeczny uścisk tej natury, którą normalnie odczuwają tylko na pięknych obrazach albo w opisach mistrzów.

*Boruta.*



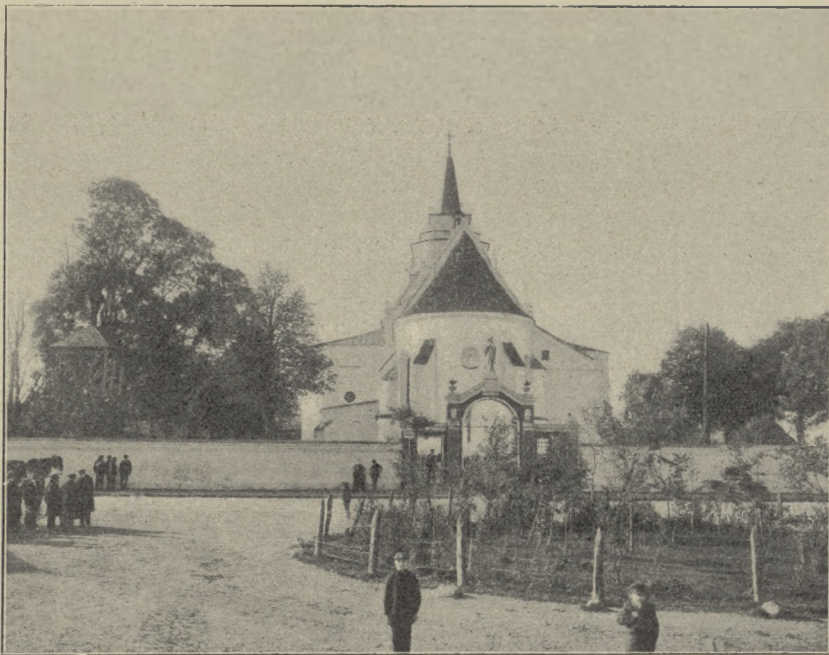


# Tablice w Kowalu.

Odświeżone d. 30 kwietnia r. b. tablice pamiątkowe w Kowalu, miejscu urodzenia Kazimierza Wielkiego, zostały z rozkazu wice-ministra spraw wewnętrznych usunięte (właściwie pokryte warstwą wapna). Tablice te miały następującą treść:

„Kazimierzowi III, Królowi Polskiemu, dla sławnych dzieł Wielkim, dla miłości ludu królem Chłopków nazwanemu, w 600 rocznicę urodzin w Kowalu, w świetnej przeszłości otuchę na przyszłość biorący Parafianie kowalscy 1310 — 30 kwietnia — 1910 r.“

„Polskę zastał drewnianą, murowaną zostawił,



KOŚCIÓŁ W KOWALU.

statutem Wiślickim prawo polskie ugrunтоваł, Akademię krakowską ku chwale narodu założył, świątynie i klasztoru ku czci Bożej wznosił, wiarę katolicką na Rusi utwierdził, Ruś Czerwoną do Polski przyłączył.“

Kościół sam, jak wiadomo — jest fundacyą króla Kazimierza z 1590 roku, zaś odnawia-

ny był przez Piotra Tylickiego, bpa krakowskiego, którego miejscem urodzenia również był Kowal. Trzy inne znajdujące się niegdyś w Kowalu kościoły, co nawiasowo mówiąc może dać miarę wielkości i znaczenia cichej dzisiaj i skromnej mieściny, zostały już rozebrane oddawna.



## Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



skiego oraz następujące depesze:

Z powodu śmierci nieodżałowanego prezesa Polsk. Towarzystwa Krajoznawczego ś. p. Z. Glogera, otrzymaliśmy wyrazy współczucia od Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie, od Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego

„Wyrazy serdecznego współczucia i żalu z powodu śmierci Glogera — Oddział Radomski.“

„Łączymy wyrazy szczerego żalu po stracie, którą poniosły nauka i społeczeństwo — Oddział Łowicki.“

„Cześć pamięci Glogera, zasłużonego krajoznawcy Polski, Rusi i Litwy — Oddział Piotrkowski.“

„Przejęci do głębi stratą nieodżałowanego prezesa łączymy się z uczestnikami smutnego obrzędu w żalu nad świeżą mogiłą — Oddział Kielecki.“

„Łączymy się w ogólnym żalu z powodu niepowetowanej straty najzacniejszego i nieodżałowanego prezesa — Oddział Kujawski.“

„Oddział Zawiercki P. T. K. przyjmuje serdeczny udział w żalu z powodu śmierci nieodżałowanego i niezapomnianego Zygmunta Glogera.“

„Najszczerze współczucie z powodu zgonu Zygmunta Glogera zasyła Gustaw Manteuffel“

oraz list Oddziału Łódzkiego, wyrażający przypuszczenie, że w najbliższym czasie powstanie jakaś fundacya dla utrwalenia pamięci zmarłego.

W pogrzebie przyjmowały udział delegacje kilku Oddziałów, imieniem zaś Zarządu Głównego przemawiał nad grobem p. Al. Janowski.

□□□□□□□□□□



## Z piśmiennictwa.

Podług otrzymanego przez nas zawiadomienia wychodząca w Warszawie pod red. p. A. Draca „Gazeta Sportowa“ ulegnie z d. 1 Września r. b. rozszerzeniu ze zmianą równocześnie tytułu na „Sport“.

□□□□□□□□□□

### Kronika Krajoznawcza.

+ „Gazeta Kielecka“ donosi, że artysta-rzeźbiarz, W. Szymanowski, podczas pobytu swego w Kielech zwiedzał pracownię „Przedsiębiorstwa marmurów kieleckich.“

Artysta o marmurach kieleckich wyraził się z całą stanowczością, że żywość i piękność ich zabarwienia i znakomity gatunek nieznaną jest w Europie.

„Marmury kieleckie w zdobnictwie artystycznym muszą odegrać wielką rolę i niezadługo wyrugują i zastąpią wszelkie marmury zagraniczne, dla tego właśnie, że mają tak cudownie piękne i żywe barwy.“

Wielki rzeźbiarz nasz był zdumiony pięknnością marmuru z kopalni Bolechowice, użytego do podstawy i obramowania jego pomnika Juliusza Słowackiego i „Króla Ducha“, który stanie w kościele w Krzemieńcu.

Artysta zabrał próby marmurów, gdyż pragnie je zastosować w kolosalnej grupie p. n. „Wawel“, przedstawiającej dzieje Wawelu. Dzieło to będzie miało 35 metrów długości o 52 postaciach nadnaturalnej wielkości.

Artysta, bawiąc w mieście naszym trzy dni, zwiedził zamek Chęciński, górę św. Katarzyny i Ś-ty Krzyż.

+ Według sprawozdania warszawskiego zarządu dóbr państwa, ogólny dochód z eksploatacji lasów skarbowych w 1909 roku w gub. Warszawskiej wynosił rubli 666,534, w gub. piotrkowskiej rubli 798,065, w gub. kaliskiej rubli 288,315 i w gub. płockiej rb. 198,779, czyli razem 1 951,695 rb. Wydatki eksploatacyjne, razem z podatkami gminnymi i utrzymaniem straży leśnej, wyniosły rb. 210,710.

+ Pan Gozdawa opisuje w „Świecie“ nową placówkę kulturalną, jaka nam przybyła w Przemyślu, trzecim z rzędu mieście Galicyi. Warunki jego rozwoju nie są zbyt korzystne, z powodu bliskości Lwowa, od którego oddalony jest ledwie o dwie godziny drogi, w kierunku ku zachodowi. Mimo to, miasto, liczące z górą 50,000 mieszkańców, szybko się rozwija. Położone nad Sanem, który szeroką wstęgą przepływa przez nie, odcinając jedną z dzielnic, jak Wisła odcina Pragę od Warszawy, ma mieszany skład narodowości-

wy, z silną jednak przewagą żywiołu polskiego. Obok dużego procentu żydów, ulegających polskiej kulturze, ma Przemyśl kilka tysięcy Rusinów. Jako pierwszorzędną twierdza austriacka, posiada liczną załogę wojskową, której korpus oficerski wnosi do jego życia nieco niemieckiego elementu. Mimo tej mieszaniny przecież, miasto jest przeważnie polskie, nie tylko w zewnętrznym swym, ulicznym wyglądzie, ale i w składzie ludności. Ma kilka szkół średnich i liczną inteligencję polską. W szybkim jego rozwoju uwidacznia się coraz bardziej dążność do przybrania charakteru wielkomiejskiego. Nad miastem panuje „góra zamkowa“ z szczytkami zamku i pięknym parkiem publicznym.

W takim środowisku powstało pierwsze w Galicyi prowincjonalne Towarzystwo przyjaciół nauk, które, podobnie jak wileńskie, poznańskie i toruńskie, ma ambicję skupiać w sobie cały poważniejszy, miejscowy ruch umysłowy. Instytucja z tem, co dziś już posiada, przedstawia cię wcale pokaźnie. Dzięki hojnej ofierze inicjatorów jej: pp. Kazimierza i Tadeusza Osińskich, oraz darom pp. Tarnowskich, F. Müllera, K. Żurawskiego, J. Wyżykowskiego i innych, powstał już cenny związek zbiorów muzealnych i biblioteczno-archiwalnych, odnoszących się przedewszystkiem do Przemyśla i ziemi Przemyskiej. Nagromadzono dotąd około 3,000 dzieł naukowych, 2,000 aktów grodzkich i ziemskich, oraz rękopisów, około tysiąca monet i medali, nadto mapy, pieczęcie, sztychy, obrazy, broń, wykopaliska, ceramikę, zabytki przemysłu artystycznego i okazy etnograficzne. Zbiory te dają już niepoślednią podwalinę nowemu ognisku naukowemu.

Towarzystwo dąży do otwarcia publicznej biblioteki i stworzenia muzeum dla przemysłu artystycznego, archeologii i etnografii, połączonego z galerią obrazów i sztychów. Związki tych wszystkich działów już istnieją. Powołaną do życia ma być stacya archeologiczna dla umiejętnych wykopalisk i odczyszczania zabytków. Poza tem przewiduje ustawa Towarzystwa inicjowanie wystaw czasowych z zakresu sztuki i przemysłu, wydawanie rocznych sprawozdań illustrowanych z rozprawami naukowymi, wreszcie stałe periodyczne zebrania, połączone z odczytami. Nad rozwojem Towarzystwa czuwa Rada naukowa. Prezesem instytucji wybrany został zasłużony w życiu publicznym miasta poseł przemyski, dr. Leonard Tarnawski, któremu młode Towarzystwo zawdzięcza znaczną część podstaw swego bytu, sekretarzem prof. Feliks Przyjemski, kustoszem zbiorów—jeden z inicjatorów całej akcji, architekt Kazimierz Osiński. Wynajęto skromny na początek lokal przy ul. Fredry, gdzie zbiory, ugrupowane systematycznie, otwarto dla publicznego użytku.

---

**TREŚĆ:** *Dr. Al. Muciesza:* „Zasady organizacji muzeów krajoznawczych“ (dokończ.); *Ig. Radliński:* „Z nad Atlantyku pod Alpy śladem ludzkiej pracy dziejowej; *Michał R. Witanowski:* „Rusiec“ (z 2 ilustr.); *Gustaw Manteuffel:* „O zamkach polsko-inflanckich“ (z 5 ilustr.) (dok.); *St. Th.:* „Sven Hedin w Tybecie“ (z 1 ilustr.) (c. d.); *Boruta:* „Gawędy krajoznawcze“; Tablice w Kowalu (z 1 illus.); Z Polsk. Tow. Kraj.; Z piśmiennictwa; Kronika Krajoz.

---

Winięte tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Własniki — Oddbito w tłoczni Piotra Laskauera i 8-ki — Składał i zamał Jan M. Własniewski. — Oddbiła na maszynie Ignacy Kotasłński. — Kłize wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i 8-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec.**